

**Recenzja ze „Zmagan” i z „Listow” ktora pojawila sie w numerze 8 pisma „Afront” (wrzesien 2019)**

**Erazm Furman**

## **„Beksiński – Dmochowski x 2**

Wiadomo, najróżniejsze bywają powody, dla których ludzie piszą książki. Najbardziej szlachetnym jest pisanie dla pieniędzy; czysta rzemieślnicza praca, która powinna budzić (i na ogół budzi) szacunek. Książki ponoć pisze się też dla sławy i to też ma sens, bo sława na ogół przynosi pieniądze (patrz p. 1). Wielu pisze, bo musi, coś im po prostu każe pisać, coś, co na ogół ma wiele wspólnego z uzależnieniem, takim samym jak alkoholizm, albo seksoholizm. Niektórzy zaś piszą z miłości, po prostu dla kogoś, w kim się zadurzyli. I właśnie z takim powodem mam do czynienia w przypadku dwóch opasłych książek, jakie wydał francuski prawnik i marszand Piotr Dmochowski. Gdy poetka Kazimiera Hłakowiczówna napisała wspomnienia z okresu swego sekretarzowania Józefowi Piłsudskiemu, zatytułowała je skromnie: „Ścieżka obok drogi”, jednak Piotr Dmochowski nie należy do ludzi skromnych, czego zresztą nie ukrywa, bo właściwie niczego nie ukrywa – dlatego w obu książkach, które za głównego bohatera mają niby słynnego malarza Zdzisława Beksińskiego, funkcjonuje on na równych prawach, czy wręcz ma ich więcej, bo po prawdzie to jednak Dmochowski dominuje, jeśli idzie o objętość tekstu, poza tym on jest narratorem w *Zmaganiach o Beksińskiego*, a narrator rację ma zawsze. To są książki de facto o miłości, o miłości do malarza, którego twórczość autor kocha, podziwia, uznaje za genialną, oraz o miłości własnej. Ta pierwsza miłość jest spełniona, choć nie wymaga obopólności. Dmochowski kocha bowiem nie Beksińskiego, ale jego malarstwo. W drugim przypadku też mamy spełnione uczucie, bo miłość własna zawsze jest spełniona, tyle tylko, że jest to chora miłość, z której **Domagalski** zdaje sobie sprawę: ale mało to razy źle lokujemy uczucia? On też źle je ulokował, bo jest jednocześnie pyszny i zakompleksiony, silny i słaby, czyli jest zwykłym człowiekiem, a chciałby być geniuszem. Beksiński jest mu potrzebny, by otrzeć się o geniusz, ale docenimy przenikliwość Dmochowskiego, jego smak – on nie ma wątpliwości co do wybitności Beksińskiego, choć większość ówczesnych ma; we Francji, gdzie Dmochowski stara się go rozpropagować, uznany w Polsce twórca nie był przez lubujących się w sztuce formalnej żabojadów doceniany, a mimo to jego marszand nie ustawał w wysiłkach, by wynieść go na piedestał. Należy mu się szacunek, bo zwykły marszand, inwestujący w sztukę wyłącznie dla pieniędzy,

dawno by się poddał, ale nie Dmochowski. To wygląda wręcz na szaleństwo: te obiady, które funduje różnym dziennikarzynom od kultury, na ogół – jak o nich pisze – zwykłym „chujom”, którzy żyją na jego koszt, zabiegi o poparcie w urzędach, u wybitnych ludzi kultury: Polańskiego, Wajdy, tysiące telefonów, płatne publikacje w ważnych czasopismach, film, wreszcie wielka bijąca po głowie wystawa, wszystko to kosztuje krocie, a nie przynosi nawet minimalnych zysków, niemniej Dmochowski nie ustaje w wysiłkach. Beksiński – jak można zrozumieć z żalów Dmochowskiego – zupełnie tej harówki nie docenia, nie wierzy w pozytywny skutek, a nawet z niej drwi i gdzie może, podkopuje pozycję swojego francuskiego marszanda. A kiedy jest bardzo źle – krach finansowy majaczy na horyzoncie – Dmochowski zaczyna pisać o tym, w jakim beznadziejnym miejscu się znalazł – przez uwielbienie do obrazów Beksińskiego. Wydaje książkę *Zmagania o Beksińskiego*, w której nie szczędzi przykrości swojemu mistrzowi, wywlekając na światło dzienne tajemnice rodzinne Beksińskiego, za co ten na jakiś czas zrywa z nim współpracę. Beks (tak go nazywa Dmochowski) obraził się na swojego wiernego marszanda i kolekcjonera, na człowieka, dzięki któremu Beksiński nie musiał się zbytnio martwić kosztami życia w Polsce i mógł de facto funkcjonować długie lata poza systemem. Dmochowski nie może pojąć, że jego mistrz ma go dość, że dość ma zwłaszcza umowy, wedle której musi namalować określoną liczbę obrazów, co go przytłacza. Dmochowski nie jest artystą, więc nie wie, że najważniejszą sprawą dla twórcy jest wolność. „Lepszy na wolności kąsek byle jaki, niż w niewoli przysmaki” – pisał biskup Krasicki, ale on był pisarzem, rozumiał tę zależność.

Obie książki są niezwykle interesujące, ale nie ze względu na ich wartość literacką, choć im jej do końca nie odbieram (zwracają uwagę zwłaszcza listy Beksińskiego, które dowodzą, że miał on naprawdę bardzo dobre pióro: pisał interesująco, dowcipnie i autoironicznie), lecz głównie za sprawą pokazania mechanizmów odpowiedzialnych z promowanie sztuki. Sporo tu wiadomości o życiu codziennym; gdybym miał zamiar robić remont w mieszkaniu, to dzięki szczegółowym opisom Beksińskiego chyba sam byłbym w stanie postawić jakąś ściankę działową. Interesujące jest, gdy panowie gwarzą sobie o filmie, mają odmienne gusta i nie mogą pojąć, że ten drugi woli coś innego (Dmochowski ceni sobie kino ambitne, Beksiński z nieskrywaną radością ogląda naiwne filmy akcji). Za to nudzą opisy sprzętu komputerowego i fotograficznego oraz zasad jego działania, którymi malarz zarzucał swojego interlokutora; zyskałby zwłaszcza tom ich korespondencji, gdyby wywalić z niego większość tej komputerowej – zresztą powtarzającej się – waty. Nie do przecenienia zaletą obu książek jest ich nieprawdopodobna szczerłość. Szczerłość granicząca momentami z obnażaniem; panowie dzielą się swoimi obsesjami, marzeniami seksualnymi czy negatywnymi opiniami o innych. Z braku miejsca i z jeszcze

większego braku chęci nie zatrzymam się dłużej nad ubolewaniami Dmochowskiego nad faktem, że już nie istnieją obozy zagłady, jakieś filie Majdanka, gdzie mógłby osobiście wykończyć głupich ludzi niedoceniających jego i Beksa. Zastanawia mnie, jak Beksiński – gdyby nie został zamordowany – zniósłby fakt opublikowania korespondencji z Dmochowskim, któremu wielokrotnie zwracał uwagę, że liczy na zachowanie dyskrecji. Sytuacja nie jest przecież podobna do tej z Franzem Kafką, który umierając, poprosił Maksa Broda, żeby ten zniszczył wszystkie jego rękopisy; ten wszelako autora *Wyroku* nie posłuchał, czym ocalił dla światowej literatury *Proces* czy *Zamek*. Dorobek Beksińskiego nic by nie stracił na znaczeniu, gdyby te listy (e-maile) nie zostały upublicznione, bo patrząc na jego malarstwo, chyba nikt nie czuje potrzeby wiedzieć, że w marzeniach seksualnych malarz wyobrażał sobie, jak to jest być jednym z „facetów duszonych krocem (...), że z braku tlenu posiniała im twarz i że duszonemu wysuwa się język i wchodzi do pochwy lub do odbytnicy”.

Tak, to są książki o miłości, złej miłości, miłości, która zabija, która odbiera, wyjaławia, a na koniec sprawia, że człowiek jest zły, zły na cały świat, tak zły, że nie poznaje samego siebie. Widać, można kochać sztukę, którą stworzył człowiek, a jednocześnie tak strasznie nienawidzić ludzi, jako takich.

Żeby nie było wątpliwości – polecam obie książki łaskawej lekturze szanownym Czytelnikom, momentami będziecie zgrzytać zębami, rzucać nimi o ściany, przeskakiwać nudnawe prawnicze wywody Dmochowskiego, ale koniec końców stwierdzicie, że dawno żadna rzecz tak was nie wciągnęła; tak mocno, że na moment zapomnieliście, że sami nie jesteście warci broszurki, czy nawet stroniczki w czyjejś książce. Tak to już jest z nami, ziarenkami piasku na trawie, którym podążają wielcy tego świata.

Piotr Dmochowski, *Zmagania o Beksińskiego*, Wydawnictwo MD, wydanie II poprawione, Warszawa 2016.

*Beksiński – Dmochowski. Listy 1999–2003*, Wydawnictwo MD, Warszawa 2017.”